

**ELIZA
ORZESZKOWA**

BRACIA

Eliza Orzeszkowa

Bracia

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843766

Bracia:

Аннотация

Właściciel niewielkiego folwarku Zenon Hornicz boryka się z problemami. Opuszczają go zaufani pracownicy, a rodzina nie daje mu wsparcia. Zenon jest otoczony ludźmi – ale samotny. W chwili najgorszego strapienia dociera do niego dobra wiadomość: niewidziany od osiemnastu lat brat będzie przypadkiem w okolicy i pragnie wpaść z wizytą. Zenon wiele sobie po niej obiecuje. W niewidzianym przez całe lata bracie ma nadzieję znaleźć bratnią, życzliwą duszę – i odmienić swój los. Eliza Orzeszkowa jest jedną z najważniejszych pisarek polskich epoki pozytywizmu. Jej utwory cechuje ogromne wyczucie problemów społecznych – w mowie pogrzebowej Józef Kotarbiński nazwał ją wręcz „czującym sercem epoki”.

Содержание

I	5
Конец ознакомительного фрагмента.	29

Eliza Orzeszkowa

Bracia

*Błogosławieni cisi, albowiem oni posiadą ziemię
(Ewang. u św. Mat. 5, 10).*

I

W domu wiejskim, starym i dość obszernym, w salce jadalnej z umeblowaniem skromnym, kilka osób otaczało stół, nakryty do obiadu porządnie, ale skromnie. Gospodyni domu, Sabina Horniczowa, siedziała pomiędzy córką dorastającą a siostrą, Rozalią Irską, naprzeciw męża i małego syna. Rozalia, panna prawie czterdziestoletnia, ale jeszcze piękna, wyglądała jak chmura. Są różne rodzaje chmur, z których każda sprawia wrażenie inne. Ta zapowiadała nie burzę groźną i przemijającą prędko, ale deszczyk długi, nudny, którego kropla każda sprawia na skórze wrażenie śpilki. Jednak osoba ta była niewątpliwie piękną i nie była ani głupią, ani gminną. Jej kibić kształtna, ruchy, ubranie ciemne i skromne posiadały cechę dobrego smaku, a czoło – zarys myślący i szlachetny; tylko że w tej chwili czoło to przerzynała zmarszczka poprzeczna, brwi czarne były ściągnięte, a usta zarysowały linię krzywą. Nie był to wyraz gniewu ani smutku, ale, wprost, złego humoru. Rozalia była w złym humorze, co czyniło ją naprzemian grobem milczącym, boginią wyniosłą lub osą, tnącą żądełkiem na prawo i lewo. Bijący od niej kwas był tak mocny, że zakwaszał powietrze. Z żółtości cery, która pod kruczemi włosami powlekała piękne jej rysy, z chudości rąk podłużnych i delikatnych, można było odgadnąć zdrowie podkopane chorobą chroniczną, nie grożącą życiu, lecz długą i nudną.

Sabina Horniczowa stanowiła zupełne przeciwieństwo siostry. Mała i szczupła, miała pozór kurki łagodnej, lęklivej i stroskanej. Twarz jej, biała i różowa, była jedną z tych, które dają dziewczętom młodziutkim podobieństwo do róż polnych, ale gdy zwiędną, przypominają obrazki spłowiełe i pospolite. Tylko błękitne oczy zachowały jeszcze jakąś piękność, polegającą na wyrazie słodczy wielkiej, z którą łączyło się teraz pomieszanie i złękniecie, ilekroć spojrzała na siostrę lub męża. Widać było, że zachmurzenie obojga sprawiało jej przykrość dotkliwą i że pragnęła mu zapobiedz, ale nie mogła. Bo Zenon Hornicz był także zachmurzonym, chociaż zupełnie inaczej, niż Rozalia. Ona była kwaśną i pogardliwą, on – smutnym i obojętnym. Smutek i zobojętnienie malowały się na twarzy jego, młodej i zarazem starej, bo miał lat czterdzieści cztery, a dużo zmarszczek na czole, zarówno jak dokoła ust i oczu. W tych zmarszczkach nie było zgryźliwości ani złości, tylko przyzwyczajenie do zamyślań się częstych i długich. Musiał zazwyczaj mówić mało, bo ci, którzy wiele mówią, wyglądają wcale inaczej od tych, którzy wiele milczą. Duszę milczącą można poznać z oczu człowieka, który ją ma w sobie. Ze źrenic Hornicza, ciemnych i zapadających często w nieruchomość, patrzyła dusza myśląca i cierpiąca, która nigdy nie wypowiadała myśli swoich, ani cierpień. Może jednak uciekanie przed wzrokiem bliźnich nie było jej wrodzonym, bo rysy, postawa, ruchy człowieka tego znamionowały raczej naturę prostą, otwartą, skłonną do zaufania. Prostem także było ubranie jego z szarego sukna

wiejskiego, w którym wyglądał silnie i niegminnie, owszem, wbrew grubości odzieży, wytwornie. Ruchy też miał młode jeszcze, ale plecy trochę przygarbione. Musiał być niegdyś bardzo przystojny i trwało to jeszcze w stopniu pewnym. Tylko postarzał wcześniej. W pierwszej połowie piątego krzyżyka miał już twarz pomarszczoną, plecy przygarbione i wiele siwizny, zmieszanej z włosami ciemnymi na głowie i w brodzie, krótko przystrzyżonej. Z młodości pozostała mu regularność rysów ściągłych, oczy piękne i zdrowie cery, opalanej na słońcu i wiatrach.

Dziewczynka czternastoletnia, stworzonko dość ładne, tak jak matka, białe i różowe, oraz chłopak dziewięcioletni z bystremi oczyma, znudzeni milczeniem, panującym przy stole, trochę kręcili się na krzesłach i trochę czasem do siebie szeptali. Rozalia ostro ozwała się do malca:

– Niech Kazio spokojnie siedzi przy stole, bo wezmę za rękę i wyprowadzę z jadalnego pokoju.

Kazio jednak nie robił nic złego, ani nawet nieprzyzwoitego. O czymś tylko szeptał z zapałem do siostry, która słuchała go z uśmiechem. Rozalia, przeniósłszy wzrok z brata na siostrę, zauważyła znowu:

– Są twarze, które zawsze wprawiają mię w zdumienie swoim wiecznym uśmiechem. Jak to można tak wiecznie się uśmiechać?

To klucie dzieci zabolalo matkę. Zcicha i z zalęknieniem przemówiła:

– Moja Rózieczko, jeżeli to mówisz do Anielki, jest to tak

właściwem jej wiekowi...

Rozalia ze zdumionem spojrzeniem na siostrę i wzruszeniem ramion przerwała:

– Ja do Anielki mówiłam? Czyż nie można wypowiedzieć zdania bez zastosowania go do kogokolwiek? Są zresztą różne gusta. O ile twarze wiecznie uśmiechnione wprawiają mnie w podziw, o tyle znowu sposób jedzenia prędko i łapczywo wstręt we mnie obudza: jest w tem coś zwierzęcego.

To stosowało się do Hornicza, który po kilkogodzinnem przebywaniu na polu i w stodole z apetytem jadł w tej chwili jakieś bardzo niewytworne zrazy. Na różowej i zwiędłej twarzy Sabiny odmalowała się dolegliwość, silniejsza niż przedtem. Z większą łatwością przenosiła złośliwość siostry względem dzieci, niż względem męża, dzieci bowiem, zawdzięczając wiele Rozalii, mogły też znieść od niej jakąś przykrość: uczyła je pracowicie i umiejętnie; była też dla nich w chwilach dobrych bardzo dobrą i tkliwą. Bywała nieraz dobrą i dla szwagra, ale gdy stawała się złą, sprawiało to Sabinie Horniczowej udręczenie, jeśli nie piekielne, to przynajmniej czyścowe. Otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale, spojrzawszy na siostrę, zlekła się i nic nie powiedziała, a po chwili dopiero rozpoczęła próby rozbijania atmosfery ciężkiej za pomocą rozmowy – bylejakiej.

– Dziwna rzecz, jak dziś sucho w ogrodzie! Po wczorajszym deszczu niema już ani śladu.

Głos jej drżał trochę; z wyrazem przykrości niewymownej patrzyła na ręce siostry, która z powolnością i delikatnością

nieślychaną krajała, rozdzierała, wprost rozgrzebywała po talerzu kawałek mięsa, kiedy niekiedy niosąc do ust malutką jego okruczę. To jedzenie fenomenalnie powolne było lekcją pogładową, udzielaną temu, kto jadł prędko, to jest Horniczowi, który jednak z niej nie korzystał, bo patrzył tylko w swój talerz.

– Czy mameczka była w alei brzozowej? tam to jeszcze zupełnie mokro! – miłym głosem zaszczebotała Anielka.

– A pod oficyną to tyle jeszcze wody stoi w rowku, żeśmy z Michasiem puszczali na nią łódki korkowe! – zawołał Kazio, mieszając cienki, donośny głosik z dźwięcznym głosem siostry.

Rozalia, która przed chwilą ruchem rezygnacji położyła sztucę na talerzu, teraz obie ręce podniosła do uszu. Nic nie powiedziała, ale przez dobrą minutę z całej siły zamykała dłońmi otwory uszu. Dzieci umilkły. Błękitne oczy Sabiny zaczęły stawać się prawie nieprzytomnymi. Hornicz przemówił do żony.

– Proszę cię, Sabinko, podaj mi sól.

Były to pierwsze słowa, które z ust jego wyszły od rozpoczęcia obiadu. Posypując solą kartofle, towarzyszące zrazom, myślał:

– Grono rodzinne zasiadło do stołu i w pogodzie ducha dzieli się chlebem, zapracowanym wspólnie! Że zapracowanym wspólnie, to prawda, ale pogody ducha niema wcale. Czego ona dziś tak skwaśniała? Alboż to kiedykolwiek ma jaką przyczynę? Owszem, jest przyczyna, tylko niewidzialna, bo siedzi w śledzienie albo w kiszkiach. Człowiek ma charakter swoich kiszki. Wczoraj były one dobre, i on był dobry; dziś są złe, i on jest zły. Takim sposobem każdy znajduje się w

zależności nietylko od swojego żołądka, ale i od wszystkich żołądków, które go otaczają. Ażeby dowiedzieć się o losie dnia, który go czeka, powinien mówić do otaczających zamiast: dzień dobry! – jak się macie, najjaśniejsze żołądki?

Spojrzał na chłopaka niezupełnie dorosłego, który posługiwał do stołu, a którego twarz wyglądała, jak misterny tatuaż z sadzy i kurzu.

– Mój Filipku, – rzekł – wyglądasz znowu jak kominiarz. Od tak dawna uczę cię czystości, i jeszcze się jej nie nauczyłeś.

Powiedział to dość łagodnie, a potem myślał:

– Od sześciu lat życia chowa się we dworze; nauczył się czytać i pisać: a codziennego umycia rąk i twarzy żadna siła ludzka nauczyć go nie może! Rzecz drobna, lecz sprawia obrzydzenie. Życie składa się z obrzydzeń wielkich i drobnych.

Rozalia milczała jak grób, półmisek z naleśnikami odsunęła ze wstrętem w tej właśnie chwili, gdy Hornicz napominał lokajczyka za brudną twarz i ręce. Sabina zaś, trwając ciągle w usiłowaniu rozpogadzania atmosfery, zwróciła się do męża:

– Ciekawa rzecz, co tam teraz porabia nasz Wicus?

Był to ich syn szesnastoletni, który przed tygodniem odjechał był z wakacyi do szkół.

– Jeszcze pewno w gimnazyum siedzi, bo jest dopiero druga godzina, a ich wypuszczają o trzeciej – prędko zagadała Anielka.

Wspomnienie o synu pogłębiło zmarszczki na czole Hornicza. Z powodu tego dziecka doświadczał troski dość ciężkiej. Zato w twarzy Rozalii to wspomnienie odbiło się, jak malutki

promyczek słońca w gęstej chmurze. Zwolna i na nikogo nie patrząc, przemówiła:

– Pisałam dziś do Wicusia, bo zdaje się, że nikt jeszcze dotąd nie pisał do niego.

– Jeszcze niema dwóch tygodni, jak wyjechał – tłumaczyła się Sabina.

Rozalia, jakby nie słyszała wcale głosu siostry, rzekła jeszcze:

– Pisałam, aby wziął od Rogowskiego część mego procentu i sprawił sobie nowy mundurek.

Hornicz po raz pierwszy z niejaką żywością przemówił:

– Niepotrzebnie to zrobiłaś. Ten, który ma, wystarczyłby mu jeszcze na rok cały. Wicus okazuje zanadto skłonności do elegancyi i popisywania się wszelkiego rodzaju...

Rozalia, podnosząc głowę, odpowiedziała sucho:

– Trudno, ażeby wszyscy mieli skłonność do safandulstwa i siedzenia za piecem.

Sabina siedziała jak na węglach rozżarzonych.

– Rózieczko, – przerwała głosem bardzo łagodnym – przecież sama nieraz mówiłaś, że nie jest dobrze, jeżeli chłopiec wykieruje się na panicza...

Oczy Rozalii z pod czarnych brwi ściągniętych tkwiły w sierniężnym surducie szwagra.

– Nie trzeba wpadać w ostateczności – zaczęła tonem oschłym i nauczycielskim – zbyt duża wybredność jest niedobłą, ale i abnegacya¹ nie dodaje nikomu uroku. Z dwojga złego wolałabym

¹ *abnegacya* – zaparcie się siebie, wyrzeczenie się wszystkiego. [przypis autorski]

już pierwsze!

Ale obiad był skończony; Sabina wstała z krzesła. Rozalia, wstawszy także, podała końce palców siostrze, a szwagra wcale nie spostrzegając, oddaliła się szybko. Słysząc było, jak w głębi domu z trzaskiem zamykała za sobą drzwi swego pokoju. W dniach dobrych szła po obiedzie do bawialni, grała na fortepianie, gawędziła, czasem nawet bawiła się z dziećmi, uczyła je tańczyć, grała z siostrzenicą na cztery ręce. Ale dzisiejszy dzień był niedobry: więc, nie przemówiwszy do nikogo słowa, wprost od stołu pokazała wszystkim plecy i zamknęła się w swoim pokoju. Dzieci pobiegły do ogrodu. Horniczowa zbliżyła się do męża, który z zamyśleniem patrzył przez okno na ogród, pełen barw, już jesiennych, i bladych blasków słońca wrześniowego. Wsunęła mu rękę pod ramię i, wznosząc ku jego twarzy oczy bardziej jeszcze niż zazwyczaj łagodne i stroskane, przemówiła lękliwie:

– Mój Zenku, jak mnie to okropnie boli, że Rózia była dziś znowu taką...

Zenek, nie odrywając wzroku od grupy drzew, powleczonych przez jesień barwami rdzawymi i żółtymi, myślał:

– Gdybym był tem, czem być miałem, czem już trochę byłem, malowałbym tę grupę drzew.

A żonie odpowiedział:

– Nie dbaj o to, moja droga, tak, jak ja nie dbam...

Jednocześnie z temi słowy miał w głowie inne.

– Kłamię, bo te drobne śpilki życia drażnią mnie

nieślychanie...

Ona zaś mówiła dalej głosem coraz cieńszym:

– Ty to przeze mnie znosisz, bo to przecież moja siostra, ale cóż ja zrobię?

– Naturalnie! Cóż możesz zrobić? niema tu nic do zrobienia!

Rozmowa taka powtarzała się przynajmniej dwadzieścia razy na rok, to jest za każdym razem, gdy Rozalia zaczynała mącić zgodę domową. Hornicz myślał:

– Tamta od dzieciństwa tak jej imponowała swoim umysłem wyższym i charakterem fantastycznym, że odebrała jej zdolność do oporu najłżejszego. Osa i kurczątko!

Kurczątko, bardzo stroskane, niemal już piskliwie prawilo mu u boku:

– Taka jest dziwna... czasem idzie spać w najlepszym humorze, serdeczna, grzeczna, miła, a nazajutrz wstaje taka, jak dziś... Za każdym razem łamię sobie głowę nad przyczyną tej zmiany i nie mogę wynaleźć żadnej.

On, patrząc teraz na grupę drzew inną i zabarwioną inaczej, rzekł z uśmiechem:

– Moja droga, zmienność wszystkiego jest prawem powszechnem. Nic nie trwa. Wszystko przelewa się w formy coraz inne, przepływa, jak obłoki. Uczucia człowieka podlegają temu samemu prawu: kiełkują, rosną, rozkwitają, więdną, i zostaje po nich łądyga pusta, czasem z owocem obrosłym kolcami.

Wszystko to powiedziawszy, pomyślał:

– No, i poco ja to wszystko nagadałem?

Ona słuchała cierpliwie, ale parę razy odbiegła myślą od słów męża, bo najprzód zobaczyła dziewczkę, idącą z koszykiem do ogrodu warzywnego, i pomyślała: »byleby rwąc sałatę, nie zdeptała pietruszki«, a potem, widząc indyczkę, prowadzącą indyczęta do gęstego klombu, zauważyła w duchu: »gdzieś blisko dostrzegła jastrzębia!« Gdy Hornicz przestał mówić, przytuliła się mocniej do jego boku i zaczęła:

– To prawda, Zeniu, ale to wszystko, co powiedziałeś, nie ma żadnego związku z Rózią...

On uśmiechnął się; ona mówiła dalej:

– Ty wiesz, że ona jest w gruncie rzeczy nadzwyczaj przywiązana do nas i do dzieci, że w wielu wypadkach dała nam dowody poświęcenia, i że wiele zawdzięczamy jej pracy około wychowania dzieci, szczególnie Anielki...

– Ależ tak – pośpiesznie zgodził się Hornicz – wiem o tem wszystkim, bardzo szanuję piękne przymioty twojej siostry, a drobne jej fantazyje nie sprawiają mi przykrości...

Jednocześnie myślał:

– Kłamię! Sprawiają, nawet taką, która zawstydzą i poniża, jak wszystkie drobnostki i małostki...

Sabina, znacznie uspokojona, mówiła z uczuciem zachwyty:

– Bo ty, Zeniu, jesteś najlepszy, najpobłaźliwszy, najszlachetniejszy z ludzi!

Zrobiło się mu żal tej kobiety, tulącej się do jego ramienia. Pochylił się i pocałował ją najprzód w czoło, a potem w oko

błękitne, którego powieka, już zżółkła i trochę pomarszczona, zamknęła się pod jego ustami.

Na jej twarzy rozlał się wyraz ukojenia.

Więc nie gniewał się! Kaprysy Rózi nie sprawiały mu przykrości! Ach! jak to dobrze! Ale uspokojona pod tym względem, zatroskała się mocniej o pietruszkę, którą dziewczka zdeptać mogła, rwąc sałatę. On powrócił wzrokiem do pysznego wycieniowania drzew ogrodowych i miał już na ustach wyrazy: »Patrz, jak ta srebrna wierzba plastycznie odskakuje od tła zaczerwienionych kasztanów!« ale nie powiedział nic. POCO? Przez pierwsze lata pożycia dokonał mnóstwa prób w tym rodzaju, i żadna się nie udała. Ona rzeczy takich, poprostu, nie widzi. Zaczęła go też teraz wypytywać: coby najchętniej jadł na wieczerzę?

Jemu to było zupełnie wszystko jedno; ale gdy nalegała, powiedział pierwszą lepszą potrawę która mu na myśl przyszła, a ona, dzwoniąc kluczami, wybiegła z pokoju. Biegła krokiem żwawym i drobnym, mającym w sobie coś ptasiego. Hornicz patrzył za biegnącą żoną i myślał, że jest to kobieta niezmaczenie dobra, i że dobroć jej nie zasługuje nawet na nazwę owczej. Przeciwnie, Sabina, będąc bardzo łagodną, jest zarazem czynną, pracowitą, troskliwą niezmiernie o potrzeby rodzinne. On też ma dla niej szacunek rzetelny i wiele przywiązania. Więc cóż? Więc dlaczegóż, gdy przed chwilą tuliła się do niego trwożnie i tkliwie, nie przycisnął jej do piersi z całej siły ramion, ale tylko pocałował w oko, prawie z takim uczuciem, jak gdyby

ono było arabeską², wymalowaną na ścianie? Dlaczego także nie powiedział jej wszystkiego, co myślał przez ten czas, gdy ona tu stała? Cóż? Po pierwsze, dlatego, że zaśmiałyby się z samego siebie, gdyby spróbował raz jeszcze powierzać jej swoje myśli lub wrażenia; powtóre, z powodu tej – łodygi nagiej, na której zostaje czasem owoc, obrosły kolcami. Na tej łodydze, którą oni trzymali w rękach, nie było kolców, dzięki jej dobroci, a jego uczciwości; ale nie było także kwiatu: trwał krótko i opadł oddawna. Oddawna już jej oko i arabeska na ścianie były dla ust jego przedmiotami jednako pociągającymi. Całe szczęście, że ona nie czuła w tym kierunku żadnych żalów i pożądań. Ma temperament limfatyczny, a nie ma żadnej skłonności do marzycielstwa. Jest wprawdzie dość młoda jeszcze, od niego młodsza o lat osiem; ale dla kobiet takich, jak ona, łodyga okwitła wystarcza do szczęścia; zwłaszcza gdy nie ma kolców. Z nim co innego: jemu nie wystarcza – ale to jego rzecz. Nie usłyszy tego żadne ucho ludzkie, i nie dowie się o tem żadna dusza ludzka; tembardziej nie wyrazi się to w czynie żadnym... bo co innego szczęście, a co innego obowiązek. Pierwsze jest mrzonką, wszczepioną w naturę ludzką, nie wiedzieć poco, gdyż urzeczywistnić jej niepodobna; drugi istnieje na pewno, ponieważ człowiek czuje go w samym sobie. Wreszcie kwestya to skomplikowana: obowiązek miesza się w nim z pewnym gatunkiem tkliwości. Kobiety, z którą żyje, nie może upajać wonią kwiatu już nieistniejącego; ale też nigdy nie wleje do

² *arabeska* – linia ozdobna, ozdoba. [przypis autorski]

gardła jej trucizny. To rzecz pewna i wypróbowana. A uczucia i rojenia może gorzkie, może palące, których z tego powodu doświadcza, są jego tajemnicą, zarówno jak wszystko, co w nim jest. Są też wprawdzie źródłem kłamstwa i udręczenia. Bo zatajanie przed osobą, z którą się żyje, znacznej części tego, co się myśli o niej i co się dla niej czuje, to kłamstwo milczące i udręczenie duże, na które jednak niema rady żadnej.

Tak myśląc, szedł przez dziedziniec ku stodole otwartej i napełnionej monotonnym turkotem młockarni. Mijając sztachety ogrodu, zobaczył dzieci, bawiące się na trawniku. Anielka, Kazio i mały syn ogrodnika rzucali piłkę, chwytali ją w powietrzu, albo ścigali po trawie. W słońcu jesiennym wśród drzew, bogato zabarwionych przez jesień, tworzyło to obrazek świeży i wdzięczny. Staął i patrzył. Przyszło mu do głowy porównanie, jakim ten ogród był przed osiemnastu laty, a jakim jest teraz. Wówczas, gdy, powróciwszy z Monachium, wyrzekł się na zawsze kariery artystycznej i wziął w posiadanie ten kawał ziemi, rosły tu prawie same chwasty, i sterczały drzewa, umierające z opuszczenia. Te gęstwiny malownicze, trawniki nieduże, lecz świeże, sad obfity w owoce – to jego praca, dokonana z wydatkiem pieniężnym nieznacznym, lecz z trudem osobistym wielkim. Zamiast na płótnie, wymalował obraz na kawałku ziemi. Była to drobnostka, ale jej przypomnienie przerzedziło nieco chmurę, która mu przygniatała mózg prawie bezprzestannie.

Nagle otworzyło się jedno z okien, wychodzących na ogród,

i ostry głos kobiecy zawołał:

– Anielko! chodź na lekcję!

Chmura na mózgu Hornicza znowu zgęstniała. Był bardzo wdzięczny Rozalii za uczenie dzieci, bo to oszczędzało trosk i wydatków dużych; ale ta przysługa ważna sprawiała mu przykrość dotkliwą, ilekroć zaprawiały ją kwas, sprzeczką i posepność. Wdzięczność byłaby dla niego uczuciem rozkosznym, gdyby dobrodziejstwo dokonywanem było w sposób dobry. Ale można czynić rzecz dobrą w sposób zły, i Rozalia posiadała tę sztukę w stopniu wysokim. Bardzo często uczyła dzieci z miną męczennicy, poświęcającej się dla siostry, nieskończenie od niej niższej, i dla szwagra nielubionego. Zdarzało się wprawdzie, że przysługa oddawana przybierała formę przyjemną, lecz pamięć o chwilach złych zatrzuwała dobre. Sprawiało to udręczenie drobne, ale dokuczliwe. Życie jest pełnem udręczeń drobnych, z którymi niekiedy mieszają się wielkie, jak kamienie w taczce, napełnionej żwirem.

W stodole młócono pośpiesznie zboże, które miało być wysłane do miasta za parę tygodni. Było już prawie sprzedane; jednak niektóre punkty umowy sprzedażnej nie zostały jeszcze wyświetlonymi, co przeszkodziło stanowczemu zawarciu umowy. Horniczowi ta zwłoka sprawiała kłopot i niepokój.

Wiele zależało od tego, jak i kiedy sprzeda to zboże, bo musiał wkrótce dokonać pewnych wypłat i zaspokoić pewne potrzeby domowe.

Dochody miał niewielkie i trochę długów, niegroźnych,

ale z którymi wypadało obchodzić się ostrożnie, aby ich nie powiększyć.

Chodząc tedy po stodole i rozmawiając z gumiennym o gatunku i wadze zboża wymłóconego, myślał o nieustalonych jeszcze punktach kontraktu. W czym można ustąpić kupcowi, a w czym nie można? Co powie ostatecznie za dni kilka, gdy kupiec przyjedzie po decyzję?

Myśli te przerwał gumienny, chłop stary, barczysty, z oczyma mądrymi, który uśmiechając się trochę tajemniczo, a trochę złośliwie, rzekł:

– Czy pan wie, że patrzeć tylko, jak Pawełek nas porzuci?

Hornicz stanął jak wryty. Z tym Pawełkiem była rzecz taka: Przed osiemnastu laty, objąwszy w posiadanie Zapolanę, Hornicz osądził, że wieś była za małą, a on za młodym, aby potrzebować w pracy nad jej uprawą wyręczyliela i zastępcy.

Skądinąd miał w sobie podówczas tyle żalu nad tem, co porzucał i czego się wyrzekał, że praca wydała mu się prawie ratunkiem. Dlatego zresztą opuścił karierę rozpoczętą i ukochaną, aby tego kawałka ziemi nie opuścić. Ze względów wszelkich ucuwał konieczność pracy osobistej. Nie wziął więc i potem nigdy nie brał do pomocy żadnego rządcy, czy ekonomy. Pomagali mu zawsze w gospodarstwie dwaj tylko ludzie: stary gumienny i młody chłopak, będący potrosze oficjalistą, a potrosze praktykantem. Dwóch takich chłopaków miał w Zapolance po lat kilka i wykształcił na gospodarzy dobrych. Pożenili się potem i osiedli na małych dzierzawach.

Trzecim z rzędu był Pawełek, którego najwięcej lubił, może dlatego, że mu uczynił najwięcej dobrego. Wziął go dzieckiem z zagrody szlacheckiej, bardzo ubogiej, czyli wyrwał z nędzy wszechstronnej. Chłopak w domu jego wyrósł na młodzieńca ładnego i zdrowego, otrzymał edukację prawie szkolną, stał się ulubieńcem rodziny całej. Nawet Rozalia okazywała mu zmienność usposobień rzadziej niż innym; był on jej uczniem w części znacznej, przez długie lat kilka. Zasiadał do stołu z rodziną Hornicza, a dziś nie było go przy obiedzie tylko dlatego, że z rana poprosił był o pozwolenie wyjechania na kilka godzin za swoimi interesami. Hornicz myślał, że pewno się gdzieś kocha, wkrótce zechce się żenić i, tak jak było z tamtymi, osiąść na gospodarstwie własnem.

Trzeba mu będzie w tem dopomódz tak, jak dopomógł tamtym. Przez jakiś kwadrans potem rozmyślał nad tem, jaką formę i wagę otrzymania mogła ta pomoc, której udzieli Pawełkowi do osiedlenia się na zagrodzie ojcowskiej, albo na jakiej dzierżawie niedużej? To też słowa gumienego obudziły w nim zaciekawienie żywe. Stał jak wryty i z uśmiechem zapytał:

– Cóż? żeni się pewno? Czy zwierzył się tobie? czemuż mnie o tem nie mówi?

Stary zaśmiał się zupełnie już złośliwie.

– Gdzie tam żeni się! On chce wyjechać do tych majątków, którymi pan Górkiewicz będzie rządził... Już podobno umówili się o pensję i o wszystko. Pan Górkiewicz dwa miesiące już namawia Pawełka, i on dziś do niego pojechał...

Horniczowi krew do głowy uderzyła...

– Ależ to nieprawda! – zawołał; – Górkiewicz nigdzie nie wyjeżdża! mówił mi sam tydzień temu, że są to tylko plotki...

Gumiennemu aż łopatki latały od śmiechu.

– Łgał, panoczku, dalibóg łgał, dlatego pewno, że panoczek byłby za to na niego niekontent: wyjeżdża, i Pawełka namawia, aby z nim wyjechał...

Czoło Hornicza tak okryło się zmarszczkami, że nie było na niem najmniejszego miejsca gładkiego. Górkiewicz był jedynym z sąsiadów, z którym żył w stosunkach przyjacielskich. Pawełka poczytywał za wychowawca i prawie za członka rodziny. Pierwszy kłamał przed nim; drugi taił się z zamiarami już od dwóch miesięcy. Czy podobna? Wzruszył ramionami. Wszystko jest podobnem! Ale kipiał z niecierpliwości dowiedzenia się napewno, czy gumienny mówił prawdę.

Wychodził właśnie ze stodoły, kiedy w bramę dziedzińca wjeżdżała bryczka parokonna, a tuż za nią cwałował na zgrabnym koniku zgrabny chłopak. Jeździec wyprzedził bryczkę, zeskoczył z konia i, prowadząc go za uzdę, zbliżył się do Hornicza. Młody, przystojny brunet z twarzą bardzo roztropną i śmiałą, zdejmując czapkę, rzekł:

– Niech pan nie gniewa się, że zabawiłem tak długo...

Schyliwszy się, pocałował opiekuna i pryncypała w ramię, nieco powyżej ręki. Ten pocałunek fizycznie zabolął Hornicza. Chciał coś powiedzieć, ale bryczka stanęła już przed domem, i Górkiewicz wysiadł z niej i wszedł na ganek. Odwróciwszy

się tedy od chłopaka, szybko poszedł ku domowi. W kilka minut potem znalazł się sam na sam z gościem w pokoju, który nosił nazwę jego gabinetu i był pełnym rachunków gospodarskich, książek, szkiców, obrazków, drobiazgów artystycznych, postarzałych i zakurzonych. Górkiewicz był blondynem przystojnym, młodszym od Hornicza, z wyrazem twarzy rozumnym i energicznym, teraz jednak zmieszany. Hornicz bez żadnego wstępu rzekł do niego:

– Czy to prawda, Bolesławie, że wyjeżdżasz?

Po chwili przykrego milczenia Górkiewicz z żywością zaczął mówić:

– Wyjeżdżam, i nie mów mi już nic, bo wiem z góry, co powiesz. Przedewszystkiem zapytasz: dlaczego przed tygodniem powiedziałem ci, że nie pojedę? Ot, widzisz, z powodu głupiego wstydu... Tyleśmy o tem zawsze mówili, że nie mogłem odrazu zebrać się na odwagę. Zresztą tydzień temu rzecz nie była jeszcze pewną i dopiero przed dwoma dniami zawarłem umowę stanowczą... A jeśliby zamiar nie miał przyjść do skutku, wolałem, abyś nie wiedział, że go miałem.

– To jest, abym przez całe życie poczytywał cię za innego, aniżeli jesteś.

– Niech to będzie dowodem, jak wysoko cenię twój szacunek...

Hornicz z silnym blaskiem oczu zapytał:

– Jaką pensję brać będziesz?

– Pięć tysięcy rocznie.

– Ileż wart dla ciebie mój szacunek: dwa, trzy, cztery tysiące? bo w każdym razie mniej niż pięć!

Górkiewicz zarumienił się.

– Bierzesz zawsze rzeczy zbyt tragicznie. Mówiłem ci nieraz, że jest to szczególną cechą twego charakteru, czy umysłu...

– Jest to istotnie szczególną cechą mego charakteru, czy umysłu, że sprzeczność czynów z zasadami wydaje mi się farsą, z której do łez śmiać się można.

Górkiewicz chodził po pokoju krokiem wzburzonym.

– Zasady – mówił – zasady! Mam je, tak samo, jak i miałem. Ale człowiek jest człowiekiem, i żadne zasady nie mogą oprzeć się takiemu życiu, jakie tu prowadzimy. Psie życie!

– Przepraszam cię, – przerwał z żywością Hornicz – życie jest psiem – na to zgoda; ale niema prawie takiego psa, któryby opuścił jednego pana dla drugiego z powodu szynki chudszej albo tłuszcieszej.

– Gdyby miał rodzinę do wyżywienia, wychowania! Ja mam żonę i dzieci!

– Wielki Boże! – zawołał Hornicz – wkrótce posiadanie żony i dzieci udzielać będzie prawa zarzynania ludzi dla zdobycia ich sakiewek!

Górkiewicz z twarzą pałającą stanął przed sąsiadem.

– Mówisz mi ciągle impertynencye, których nie zniósłbym od kogo innego, ale od ciebie znoszę, bo byliśmy przyjaciółmi...

– Byliśmy przyjaciółmi! – zawtórował Hornicz.

– I stosunek przyjacielski z tobą bardzo mi dopomagał do

znoszenia kłopotów, nudy i wszelkich nędz tego psiego życia... Więc nietylko zniosę, coś mi powiedział, ale jeszcze poproszę cię o przebaczenie. Namówiłem tego Pawełka, aby tam jechał ze mną...

– Naturalnie; – wtrącił Hornicz – byliśmy przyjaciółmi.

Górkiewicz, ciągle bardzo cierpliwy, mówił dalej:

– Taki chłopak roztropny i doskonale wyuczony gospodarstwa będzie mi tam bardzo użytecznym...

– Był mnie także użytecznym i w dodatku bardzo miłym, ale że pociągnąłeś go perspektywą³ karyery, to naturalne. On był moim wychowawcą, a ty prawie przyjacielem.

– Jesteś dziś gorzkim, jak pieprz hiszpański; ale się temu nie dziwię. W tej ciernistości, a zwłaszcza ciasnocie stosunków i warunków można zgorzknieć, kwaśnieć i nawet żywcem zgnieć. Co mnie najbardziej znęciło do wyjazdu w owe dalekie strony, jest właśnie to, że będę mógł działać na szeroką skalę. Jestem przecież agronomem wykwalifikowanym i mam pasję do gospodarstwa wielkiego, która na mojej małej Zaleśnie aż skwierczała, tak była dławioną. Tam, na przestrzeniach ogromnych i zaledwie napoczętych przez eksploatację, szeroko odetchnę piersią i znajdę sposobność do rozmachu ramion...

Hornicz ochłonał nieco z gniewu; siedział teraz z głową opartą na rękę, bardzo smutny.

– Działalność szeroka, oddech pełny – przemówił – to ponęty istotnie silne... Życzę ci powodzenia!

³ *perspektywa* – dalszy widok, – tutaj: nadzieje. [przypis autorski]

– Dziękuję; czy przebaczasz mi Pawełka?

Hornicz spokojnie odpowiedział:

– Samemu sobie tylko nie przebaczam, że, będąc starym wróblem, jeszcze raz złapałem się na plewy...

– Jakie? – zapytał Górkiewicz.

– Zasad twoich i wdzięczności tego chłopca.

Górkiewiczowi zaiskrzyły się oczy, przygryzł wargę i pochwycił czapkę ze stołu.

– Przyjadę jeszcze pożegnać się z tobą przed odjazdem. Dziś muszę być w kilku miejscach.

Hornicz wstał i, końcami palców dotknąwszy zaledwie dłoni, którą do niego wyciągnął był Górkiewicz, zapytał:

– A co będzie z Zaleśną?

– Wypuszczam ją w dzierżawę.

– Zapewne z czasem sprzedasz?

– Nigdy w życiu! – z uniesieniem zawołał Górkiewicz.

– Mój drogi – rzekł Hornicz – wyrazy: nigdy i zawsze! nie powinny dotykać ust człowieka, który nie chce kłamać przed innymi i sobą samym.

W dwie minuty potem bryczka Górkiewicza zaturkotała na dziedzińcu, Hornicz stał u okna i, ścigając wzrokiem sąsiada odjeżdżającego, myślał:

– Działalność szeroka, oddech pełny, przyszłość dzieci ubezpieczona... Zapewne też choć odrobina przyjemności umysłowych i towarzyskich... wszystko to mieć będzie i za tem pogonił. Który z nas mądry, a który głupi?

Pomimo wszystko czuł za odjeżdżającym żal dotkliwy. To, co ich wiązało, nie było właściwie przyjaźnią, tylko stosunkiem przyjaznym. Hornicz nie otwierał duszy przed Górkiewiczem, bo wiele tam było rzeczy, które mógłby powierzyć chyba rodzonemu bratu. Ale na znacznej przestrzeni był to jedyny człowiek, znajdujący się na tym samym co on poziomie umysłowym. Gdy go nie stanie, usta zamkną się mu ostatecznie. W czasie długich miesięcy jesiennych i zimowych Górkiewicz niekiedy przyjeżdżał do Zapolanki i w tym samym pokoju rozmawiali całe godziny o życiu, książkach i różnych sprawach tego świata. Teraz i to zniknęło. Pawełek także zniknie. Ale to będą rzeczy zwyczajne i dobrze mu znane. Nieraz, i nawet nie dziesięć razy, spostrzegał nieustanne i nieuchronne zmienianie się dokoła człowieka widnokregu jego przywiązań i przyzwyczajień. Za każdym razem doświadczał smutku, zięjącego ze zmienności rzeczy ziemskich, ale stał się mu on już dość powszednim. Wczoraj było, dziś niema; dziś jest, jutro nie będzie: historia starożytna a powszechna. Ale głębiej i ostrzej zaszała mu w serce przyczyna, dla której teraz dwaj ci ludzie mieli zniknąć z jego życia. Była nią gonitwa za zwiększeniem sumy wygod i przyjemności różnorodnych – nic więcej: dochody i karyera! Wcale nie obowiązek i nie dążność, sięgająca poza granice ich interesów osobistych rzędu niższego, – tylko dochody i karyera! Prowadziło to za sobą szereg refleksyi⁴ i przewidywań ciemnych, nie mających związku bezpośredniego z nim samym,

⁴ *refleksja* – rozmyślania. [przypis autorski]

ale będących w związku ścisłym z jego ponurem zapatrywaniem się na ludzi i różne sprawy świata.

Był to przytem zawód. Górkiewicz poczytywał za człowieka, rozumiejącego życie, oddane obowiązkom wyższego rzędu. Pawełka uczył sam rozumieć takie życie, i zdawało mu się, że nauczył. Omylił się, ale niezupełnie. Górkiewicz był istotnie człowiekiem uczciwym i poważnym, a Pawełek – chłopcem dobrym i wdzięcznym, tylko że te ich przymioty nie wypełniały pewnej miary i nie posiadały pewnej siły.

Ta sama historia, co z naturą jego żony i jej siostry. Sabina była kobietą uczciwą i dobrą, ale ograniczoną i słabą, jak kurczątko; Rozalia – wykształconą, ale zmienną, jak fala. Nic w tem niema pocieszającego; owszem, jest to właśnie najsmutniejszym. Bo z pociechą wielką powiedziała by sobie: to są lotry i dyablice, to bohaterowie i anioły! albo przynajmniej: poszukajmy bohaterów i aniołów!

Ale pewność, że wszystko na ziemi, nie będąc ostatecznie złem, nie jest także doskonałym, że, jeżeli nie godzi się pluć na nic, to i ukłęknać niema przed czem, – leje w serce i umysł ckliwość nieznośną.

Z dwóch pokoi przyległych dochodził go odgłos kroków drobnych i śpiesznych, szepty cichutkie, śmieszki przymilone. Wiedział dobrze, co to znaczyło: Sabina usiłowała powrócić do łask Rozalii. Ilekroć starsza siostra stawiała się osą, młodsza usiłowała stać się dla niej miodem. Czyniła to zapewne przez dobroć serca, współczującego posepnemu usposobieniu siostry,

ale więcej jeszcze dla miłości świętego spokoju. Nuż rozchmurzy się i przestanie zakwaszać atmosferę domową! Nie osiągało to skutku prawie nigdy, ale powtarzało się zawsze. Kurczątko nie mogło żyć w atmosferze burzliwej, a nie rozumiało, że tylko czas i polepszony proces trawienia mogą przywrócić nietrwałą pogodę. Wiedziała o tem, że mąż jej siedzi w pokoju swoim sam jeden, zmartwiony historią Górkiewicza i Pawełka, jednak nie przychodziła do niego, tylko biegała ciągle do pokoju Rozalii z przysługami, ze śmieszkami i z szeptami. Bo od niego nie lękała się, tak jak od niej, rzeczy przykrych i niepokojących. Z tego wynikałoby, że, chcąc doświadczyć dobroci ludzkiej, trzeba umieć być złym.

Słońce było już blizkiem zachodu, pora wieczery nadchodziła, gdy do pokoju Hornicza wszedł Filipek, i położywszy na stole list i parę dzienników, odszedł.

Hornicz przypomniał sobie, że dziś był dzień posyłania na pocztę, a raczej na stację kolei, po dzienniki i listy – właściwie po dzienniki, bo Horniczowie prowadzili oddawna życie tak ustronne, że listy przybywały do nich bardzo rzadko. Ale ten, który przybył teraz, miał widać coś szczególnego w samym piśmie adresu, bo Hornicz rozdarł kopertę bardzo pośpiesznie, a potem, stronicę zapisaną przeczytawszy, z oczami rozbłyśniętymi rzucił się ku drzwiom.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.